

Dumas zgadza się w głównej zasadzie z p. Bierzyńskim, że kobieta jest zagadką, że wzbudza w nas wysokie natchnienia, ale przeszkadza w ich wykonaniu; zapowiada tylko, że różnić się będzie w rozwinięciu swego principium i zarzuca autorowi somatologii, że się nadto przywiązywał do *faktów*, a mało śledził *przyczyny*.

P. Bierzyński podjął pracę w szlachetnym celu, a choć uzyskał uznanie areopagu intelligencji Zachodu, nie obojętnym jest dla niego i ocenienie dzieła tego przez ziomków, dla których pragnie by się stało korzyścią. Zapewne więc pracę swoją p. Bierzyński przebierze w suknie swojskie, aby się stać mogła przystępniejszą dla większej liczby tutejszych czytelniczek i postawić autora w rzędzie pracujących na niwie piśmiennictwa krajowego.

J. M.

„Złoty Jasieńko” powieść przez J. I. Kr.—„Kometa” powieść Henryka Lisieckiego.—„Drahomira” tragedia w 5ciu aktach Weilena, przekładu W. Anczyca.—„Filiberta” komedia w 3ch aktach E. Augiera, przekładu K. Kaszewskiego.

Na horyzoncie księgarskim tak mało pojawia się nowości, że zdawałoby się iż niedługo autorowie przestaną pisać a publiczność czytać. Prawda, że mnogość kalendarzy, zwiększająca się z każdym rokiem, jakby na znak obudzonej potrzeby kalendarzowej, utrzymuje przy spamiętaniu alfabetu, ale też ponad te wysilenia których się i najuboższy księgarz nie zleknie, przedsiębiorczość i produkcyjność literacka, prawie nie idzie dalej.

Powieść, ten najpoczytniejszy jeszcze teraz towar, rzadko się ukaże (mówimy tu o powieści zasługującej na tę nazwę), a gdy się szuka nazwiska autora, znajduje się to samo co przed laty kilku lub kilkunastu. Starzy i zasłużeni szermierze pióra, tworzą i dalej z niewygasłym ogniem, z niewyczerpanym zasobem poglądów, na świat i coraz się zmieniające przejawy społeczne. Młodzi duchem, niezawątpieni, wierzą jeszcze w koło czytelników, dla którego piszą; dlatego dzieła ich nie odstręczają nagą, realistyczną, ale względną prawdą; dlatego znać że postacie ich powieści to ludzie ze wszystkimi słabościami, ale i pełni cech człowieczeńskich, wyższych, że walka i cierpienia jakie przechodzą, są rzetelnie moralnym ich znamięm. Czasem, z uszczerbkiem może życiowej prawdy, ścielą oni drogę ideałowi, o którym młodsza generacja pisarzy, chce bezwarunkowo zapomnieć. Życie, to pasmo białych i czarnych chwil, zbrodni, wysokich cnót, genialnych uniesień i zwierzęcych popędów; staje się pod ołówkiem malarza obyczajów, jedną lub drugą ostatecznością. Lecz ostateczność dopytująca się zagadki życia w jego bezpośrednich, materyalnych wynikach jeżeli

dowodzi daru obserwacji, to znowu działa na wrażenie niszcząco, zgubnie i rozkładowo. Nie wolno pisarzom, mającym powołanie bronić zasad świętych i niewzruszonych, zapuszczać sonde w organicznie człowieczym na to tylko, ażeby sprawdzić że tam istotnie działają funkcyje fizyczne; niewolno obracać się w ciasnym jedynie kółku codziennych przeznaczeń, bez wskazania promieni nieba odzwierciedlających się w duszy. Fotografia z natury, prawda dotykalna i namacalna, nie stanowią pisarza, któremu powinni wierzyć czytelnicy. W tém cała sztuka i cała zasługa powieści, że stwarzając obrazy prawdziwe, ludzi rzeczywistych, że skreślając nędrę nieodłączną na ziemi, słabości i namiętności, nie oddala się przecież od świetlanego punktu wyższych celów, od idei wiążących dolę doczesną z dolą wieczną.

Do takich wytrwałych, zawsze cel wyższy mających na oku pracowników, należy przedewszystkiem bez zaprzeczenia J. I. Kr(aszewski). Niewiedzieć, czy podziwiać niezmierną i nadzwyczajną płodność tego gorącego pisarza, czy piętno prawdy, życia i miłości ludzi, wybitne w najdrobniejszym jego utworze.

W każdym, bez nudnego gwałtem narzucanego morału, tkwi zasada moralna wypływająca sama przez się, z toku opowiadania, z zestawienia przygód ścierających się z bohaterem, z walki brzydkich nawet namiętności. Autor ten nie omija śliskiej sytuacji, drażliwego plastycznością rysunku, ale poznać łatwo, że się w tém nie lubuje, że odsłonił posągi nie dla podbudzenia ich nagością zmysłów, ale dla zapoznania z czystością i pięknością linii. Jeżeli każe postaciom swych powieści kłaść się w błocie nalogów i złych namiętności, poniżać godność człowieczeńską, to czyni to z wyższych pobudek, z konieczności nagromadzenia światła i cieni, zlewających się ostatecznie w jasną światłość. Ażeby uniknąć niebezpieczeństwa, potrzeba je poznać, ażeby hołd oddać cnocie, potrzeba znać jej walkę z występkiem, potrzeba poznać sam występnek w całej jego sile i doniosłości. Tylko w starciu się otwartém z złego z dobrem, w współdziałaniu widoczném obydwóch żywiołów, tkwi prawdziwe zwycięstwo. Nie dlatego cnota powinna zwyciężyć że jest sama przez się cnotą, ale dlatego że jest istotnie zbawieniem i wyższym czynnikiem. O ile więc potrzeba do przeciwstawienia, obrazów ciemnych, czasem choćby jaskrawych, o tyle są one nawet konieczne i nie powinny razić nikogo. Powieść jest odbiciem życia, odwzorowaniem człowieka. Tak jak w człowieku walczy złe z dobrem, ohyda z szlachetnością, tak i w powieści jeżeli ma sprawić wrażenie, też same przeciwieństwa znajdować się mogą.

Kraszewski celuje właśnie umiejętnością złożenia powieści z takich organicznie ze sobą powiązanych sprzeczności, wykazując przez to ułomność natury ludzkiej a więc i niemożność kreślenia postaci bezwarunkowo dodatnich. Starając się zawsze pochwycić naturę w rozlicznych jej przebiegach, unikał niesmacznych idealnych abstrakcyj. W tem jego zasługa, a w zasadzie tej najlepszy odpór krzyczącym na jaskrawość, jednej z nowszych jego powieści

(Orbeki). Bohaterowie jego, prawda, czasem zbyt słabi, zbyt poddający się naciskowi fatalnych okoliczności, aleć zawsze są to ludzie rzeczywisci, choć nie sięgający czołem w obłoki. Niepodobać się może, że Orbeka ulega w tak rezygnacyjny sposób nikczemnej zalotnicy, ale to niemniej pewna, że i silniejszy od niego charakter gdy raz pozwolił się ować namiętności, uledzby musiał. W tém sztuka i zasługa, ażeby się nie dać ować; w tém kara, że się odrzuciło wolę i rozum a puściło wodze zmysłom. Autor jednak dlatego skreślił tę namiętność w całej ohydzie i zgrozie, ażeby wykazać jęj szkodliwość, a więc czytelnika pobudzić do refleksyi.

W najnowszej powieści tego autora zatytułowanej: „Złoty Jasieńko” mamy do czynienia nie z namiętnością podbudzającą do gwałtownych czynów, ani z ową ubezwładniającą działaniem rozumu i woli, ale z występkiem, ubrany w strojną szatę ambicyi światowej. Bohater nazwany „złotym Jasieńkiem” jest złym i zepsutym z natury, z usposobienia, z krwi czy jak tam kto tłumaczyć chce te wpływy. Każdy czyn jego, to zaparcie się uczuć, obowiązków najświętszych, jako: miłości synowskiej, wdzięczności, przyjaźni; każdy postępek jego to zimny, obłudny i wyrafinowany egoizm. Obrawszy sobie za godło: bogactwo i znaczenie, postępuje w tym kierunku konsekwentnie, niezbłagane, deptając bez litości wszelkie przeszkody, choćby się nazywały własną matką. Logika zbrodni jego ściśła, tak jak logicznym jest jego charakter do pewnego punktu, to jest dotąd, dopóki nie żądamy wyjaśnienia przyczyn, jakie się złożyły na wytworzenie tyle zepsucia. Złe wychowanie nie może tu być przyczyną, gdyż matka jego, prosta kobieta, ale pełna cnót, i miłująca go całą duszą, a wreszcie brat, wychowany tak samo, na ulicy w biedzie i nędzy, jest przecież dzielny, pełny szlachetności młodzieńcem. Cóż więc zrobiło go złym? Tego usprawiedliwienia autor nie dał wcale, a potrzebne ono niezbędnie tam, gdzie chodzi o główną osobę, o bohatera powieści. Nikt nie przychodzi na świat z gotowym i wyrobionym charakterem: tysiące okoliczności składa się na to.

W „Złotym Jasieńku” tych okoliczności wcale nie znamy; staje przed nami odrazu zły człowiek, z całą świadomością swęj złości, z całym planem dojścia do celu ambitnych widoków, z poświęceniem najdroższych krwi swojej osób.

Poznajemy go, jako wziętego i głośnego mecenasa w pewnym mieście, trzymającego w najlichszej izdebce swoich wspaniałych apartamentów starą matkę, której się wstydzi, a która kocha go bez pamięci, z szafem najwyższej macierzyńskiej miłości; dowiadujemy się zaraz na wstępie że tenże mecenas ma brata Wilmusia, który szedł na ulicznego urwisa i to właśnie z jego winy: dowiadujemy się wreszcie że niejakiemu p. Simonowi, bankierowi żydowi zawdzięcza mecenas nagłe swe wzniesienie się i fortunę, za co mu się odwdzięcza najpodlęj.

Jeżeli tak fenomenalnie źli ludzie istnieją rzeczywiście w świecie (o co się nie sprzeczamy), to w powieści, zwłaszcza od tak wy-

trawnego mistrza, wymagamy usprawiedliwienia psychicznego. Sumienie człowieka pragnie wytłumaczenia i zaspokojenia. Za tyle otrzymanych dobrodziejstw, za przejście z ostatecznej nędzy w bogactwo i poważanie, nie odpłaca się bez przyczyny krzywdą, zdradą i złością, inaczej potrzebaby wierzyć w ślepe i tajemnicze działanie krwi, w fatalizm przeznaczenia, wiszący nieubłagane nad każdym, od urodzenia.

Zgodziwszy się jednak na gotowy już charakter, śledzimy go z zajęciem, które wytrawne pióro podtrzymać umie do ostatka. Przebieżmy pokrótce treść powieści,

„Złoty Jasieńko” jest mecenasem słynnym i wziętym w pewnym mieście. Zazdroszczą mu wszyscy dostatków, urządzenia eleganckiego domu i pańskiego przyjęcia. Zazdroszczą mu przyjaciele domu, ci którzy go znają z daleka, i ci którzy go znali dawniej, gdy jeszcze był ubogim kancelistą. Ale tych ostatnich nie wielu, jest nim zaledwie niejaki Tramiński, stary kancelista, zdolny i prawy człowiek, który nie umiał nigdy w życiu ani podskoczyć, ani podleźć. Złota młodzież grywa u mecenasa po nocach w karty, pije szampana, a i najpoważniejsi obywatele radzi bywają w domu gościnnym, gdzie gospodarz ma zawsze na ich przyjęcie otwarte ramiona, słodkie słowo i doskonałą piwnicę. Między innymi bywa u niego pan prezes, personat, świecący karmazynowem pochodzeniem i wielkimi dobrami. Na panu prezesie, spoczęły ambitne nadzieje mecenasa. Połączenie się z córką jego, dałoby mu od razu fortunę i zatartoby zarazem gminne pochodzenie, odkrycia którego boi się jak wiecznego potępienia. Nie dziw przeto, że gdy po orgii całonocnej, zaszedł do nędznej izdebki stariej matki, znieść nie może jej serdecznych uścisków, jęć też sierocych, jej pieśczęt, któremi obsypuje „swego złotego Jasieńka”. Pan mecenas drży ażeby się kto nie domyślił, iż ta stara sponiewierana klucznica jest jego matką, kochającą go bez pamięci, z szaleństwem, z popełnieniem nawet krzywdy względem młodszego syna Wilmusia, którego syn starszy, wstydzący się prostego chłopaka, odpędzić jej kazał. W miarę, jak plany mecenasa dojrzewają staje się on coraz okrutniejszy, bo nie pozwala staruszce mieszkać przy sobie, nie pozwala jej jedyniej radości i pociechy, jaką czerpie w krótkiej godzinie gdy się nań napatrzyć może. Po straszliwej scenie, w której nadaremnie błagała o pozostanie i nadal u niego, rozchodzą się na zawsze, stara matka w odległy kąt ubogi, gdzie wkrótce w rozpacz umiera, otoczona troskliwością i poświęceniem młodszego, pogardzonego Wilmusia, a wyniosły i twardego serca syn pędzi naprzód, knując co raz nowe plany i spekulacje, które go w końcu najhaniebniej zawodzą. Pan prezes albowiem, potrzebujący go chwilowo, siedzi w długach po uszy, a córkę wydaje za kogo innego; ciocia przesyłowny, zalotna baronowa, ludzająca mecenasa czas jakiś, gdy otrzymała znaczny spadek, poślubia dawną miłostkę, oficera od huzarów; dawny dobrodziej mecenasa, bankier

Simon oburzony za jego niewdzięczność, wypowiada mu wierzytelności, tak, że nadchodzi czas, w którym trzeba jednym zamachem zwyciężyć lub zginąć. Żłoty Jasieńko, na którym śmierć matki niewielkie sprawiła wrażenie, wybrał drogę pośrednią. Sprosił wielką liczbę gości na Sardanapalową ucztę, podczas której nie spalił się wcale, lecz się tylko ulotnił wraz z gotowizną, jaką się zebrać dało, aż po kilku latach odnajduje go brat w Homburgu w domu gry, jako krupiera. W hierarchii społeczeńskiej, nie wiemy jakie krupier zajmuje miejsce, ale pojmujemy doskonale, że w hierarchii moralnej, to jedynie miejsce taki człowiek mógł zająć.

Jakkolwiek „żłoty Jasieńko” główną jest w powieści figurą, z rozkoszą jednak odrywamy uwagę od niego, i przypatrujemy się takiemu panu Sebastyanowi, Tramińskiemu i młodszemu bratu Wilmusiowi. Wilmuś to dziecię ulicy, urwis i pozorne ładaco, ale przechowuje skarby nczucia w piersi, gdy je wydobyć trzeba dla bliźnich i dla rodziny. Z pijaczyny i włóczęgi, staje się dzielny rzemieślnikiem, osładza ostatnie chwile matki, odwiedzając za przyjaźń dobrodziejowi swemu Tramińskiemu, słowem składa żywy dowód, czém stać się może i najbiedniejszy człowiek, gdy ma nie zepsute serce, zdrowe ręce i energią. Malowany z natury farbami żywymi i dosadnymi. Z pana Sebastyana urobił autor typ małomieszczanina, starodawniej prostoty i prawości. Dom w którym mieszka, żona, otoczenie i sposób zatrudnienia, wszystko ze sobą zgodnie powiązane, i wielce charakterystyczne. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły, w opis pojedynczych scen silnych i dramatycznych, np. sceny rozstania mecenasa z matką: dość powiedzieć, że po przeczytaniu, zostaje się na długo wrażenie, jakbyśmy co dopiero pożegnali dobrze znane nam osoby, a niektóre sercu naszemu drogie.

Z nazwiskiem autora powieści „Komety” p Henrykiem Lisieckim spotykamy się poraz pierwszy. Wielom służyłoby to mogło za uniewinnienie, p. Lisiecki tego bynajmniej nie potrzebuje. Wprawne pióro, głęboki dar spostrzegawczy, zdolność analizy cokolwiek nawet za subtelną: znamionują przymioty nietuzinkowego pisarza. Umie trzymać uwagę czytelnika w ciekawości naprężonej, czasami prawie gorączkowej, co mu się może jedynie w tym wypadku nie chwali. To bowiem oczekiwanie gorączkowe i niezdrowe, wypływa z obioru przedmiotu przedstawionego z talentem, ale jaskrawo i drażliwie. Łatwo zrozumieć że przedmiotem jest: kobieta i jej smutny a wielce oryginalny upadek. Kobieta zaś jedna z pośród tysiąca, wyjątkowa, dla tej właśnie przyczyny może słuszniej nazwaną byćby powinna: *Kometą*, które jak wiadomo rzadko się pojawiają. Niema powieści bez bohaterki, bez miłości, prawda to stara od czasu jak romans napisany poraz pierwszy: ale ta konieczność nakłada na autora pewne obowiązki, których się pomijać nie godzi. Miłość prawdziwa jest tylko jedna, ale sposób jej przedstawienia, zmienia się stosownie do indywidualności piszącego. Od tej też indywidualności zależy, miłość tę ubrać

w strojną a nadewszystko świeżą szatę. Francuzcy pisarze, siłąc się na oryginalność w tym przedmiocie tak wyczerpująco wyzyskiwanym, stwarzali heroizmy przestraszające wyjątkową potwornością, niestety w niektórych szczegółach prawdziwą. Pani Sand była i jest mistrzynią w tym względzie. Lecz idąc w jej ślady stwarza się kobietę nie będącą typem, lecz raczej fenomenem, a dzieje takiej nie będą romansem obyczajowym, ale monografią ciekawego, i nie zaprzeczamy, możebnego egzemplarza. Będzie to niby mamut nowoczesny, z kości którego, wolno wnioskować o szczególnych i nadzwyczajnych własnościach.

Toż i Erasmus w sławnej swojej „Pochwale głupstwa” tak się wyraża o kobiecie: „Kobieta jest, przyznać trzeba, stworzeniem niezdatnem do niczego i szalonem, ale w każdym razie zabawnem i wdzięcznem, tak, że towarzystwo jej osładza to, co geniusz mężczyzny mieści w sobie smutku. Platon, niewiedząc do jakiej zaliczyć klasy kobietę, czy do zwierząt rozsądnych, czy innych, chciał przez to zaznaczyć szaleństwo płci pięknej. Bo gdyby przypadkiem kobieta chciała udawać mądrą, uwytatniałaby jeszcze bardziej swój brak rozsądku.. Kobieta pozostanie zawsze kobietą, to jest szaloną, jakąbądź przywdziałaby maskę...”

Słowa te napisał myśliciel w ironicznej satyrze, a jakby ich rozwinięcie szerokie, znajdujemy dziś w bohaterce powieści „Komety” Jest nią hrabina Ida O. Niepodobna skreślić nam szczegółowo jej charakteru, na który składały się same awanturnicze przygody, właśnie go objaśniające. Urodzona i wychowana na szerokich drogach Europy, po których jej matka wiecznie goniła, wzrosła pod okiem guwernantek wszelkiej narodowości. Ojciec zajęty był wyłącznie fabrykami i spekulacyami. Edukacja szła koszlawo, dopełniała ją różnaitość obrazów codziennie przesuwających się przed oczami. Mając lat 17, mogła się stać niebezpieczną rywalką księżnej matki; wydano ją więc za bogatego hr. O. zużytego życiem i wiekiem. Ida oczekując świetnej swobody, przystała chętnie na zmianę, ale się gorzko zawiodła. Starzec albowiem, trawiony ogniem niewczesnej namiętności, zamknął skarb swój na wsi, i udręczał go miłością, do której idealnie piękna kobieta, czuła wstręt nieprzewyciężony. Przytem hrabia był brudnym sknerą, obrzydliwym moralnie, i napół idyotą. Wynikłe ztąd sceny małżeńskie, doprowadzały ją do chęci odebrania sobie życia, aż po jednej scenie krwawej i skandalicznej, wyratował ją hrabia August, młodzieniec szlachetny, pupil hrabiego O. którego się tenże bał, bo go w prowadzeniu opieki oszukał.

Odtąd żyła w separacyi, mając sobie zapewnioną znaczną pensję. Odtąd też zaczyna się właściwa powieść.

Pozbawiona temperamentu, jak się autor wyraża, oschłego serca, z niezastygłym wstrętem do mężczyzn, wyniesionym z małżeńskiego pożycia, piękna niepospolicie i wyzywająca, rzuciła się w najdelikatniejsze entrepryzy, doprowadzała je do ostatnich granic, a wtedy... w chwili rozwiązania, odpychała z zinnem szyder-

stwem, posuwając do okrucieństwa kamienną nieczułość. Igrając z uczuciem czuła się w swoim żywiole, a w tej igraszcze znajdowała niewymowne rozkosze.

Oto krótka a dosadna charakterystyka bohaterki. Z niej wypływały rozliczne komedye, któremi się bawiła, tragedye, służące jej za próbiez doświadczenia, i ostatni smutny epilog, którego padła ofiarą. Sztukę uwodzenia posunąwszy do wymarzonego stopnia doskonałości, znajdowała w niej cel życia i jedyną przyjemność. Nie więc dziwnego, że jakiś Anglik literalnie dla niej umarł, że drugi się zastrzelił, i że nareszcie, trzeci... współbohater, prawdziwie, to jest na śmierć i życie w niej się zakochał. Na imię mu Zdzisław. Autor przedstawia go jako młodzieńca przystojnego, ukształconego, światowego, znającego kobiety, intrygi i szermierkę miłosną. Po dwakroć w życiu rozczerowany, okrył się pancerzem obojętności, którego nie myślał już zdjąć kiedykolwiek. Lecz przerachował swe siły. Hrabinę nęcił upór młodzieńca i jego wytrawność chłodna, opierająca się spokojnie, umiejętnie nastawionym nań sidłom. Po długiej, obustronnej walce, po wypróbowaniu wzajemnych sztucznych ogni, zaczęła się prawda, zaczęła szczerość, rozgorzała w sercu Zdzisława wielka i potężna miłość, a i serce czy nerwy hrabiny zadrgnęły żywiej po raz pierwszy w życiu.

Świat, znający Idę jako kobietę przelotnych i tygrysiich kaprysów, odradzał zacnemu Zdzisławowi połączenia się z nią węzłem dogonnym; odradzał też wierny jego przyjaciel hrabia August; ale zakochani nie widzą i nie słyszą, a hrabina na przekór światu, postanowiła oddać mu swą rękę.

Rozpoczęto kroki rozwodowe, wymagające wiele czasu i kosztów. Niecierpliwy Zdzisław nie szczędził ofiar, zabawiając tymczasem w najdziwaczniejszy sposób rozgrymaszoną śliczną zalotnicę, która wzorem Kleopatry gotowa była perły zjadać w potrawie, byle jeden dzień nie podobien był drugiemu, byle fantazyi swój nie ocieplonej uczuciem, jakkolwiek uczynić zadość. Cały ten ustęp mający stanowić chwilę przedślubną, skreślony po mistrzowsku, z wielką znajomością jeśli nie kobiecego serca, to kobiecych nerwów i kaprysów.

W trakcie rokowań o rozwód i miłosnych rozmowach, które naprężeniem poczęły niepokoić Zdzisława, otrzymuje hrabina list z Wenecyi, donoszący jej o śmiertelnej chorobie księżnej matki. Wyjeżdża, a z nią Zdzisław.

Zaledwie kilka dni pobyli na miejscu, gdy zakochany dostrzegł na czole Idy zadumę, nudę czy znużenie, a pewnego poranku prowadząc ją pod ramię, uczuł drgnięcie jej ręki w chwili gdy się odkloniła księciu F. To go ubodło, ale nie było czasu do rozpamiętywań, bo go Ida pod pozorem jak najszybszego zakończenia sprawy rozwodowej, wysyła do kraju. Zdzisław tęskny, strapiiony odjeżdża, a po jego odjeździe zaczyna się część druga

powieści, będąca zarazem nowym zwrotem w życiu téj przez autora nazwanej „*komety*.”

Opowiemy ją króciutko i najlepší, gdy podamy życiorys księcia F. Należał on do rzadkich zjawisk w naszym społeczeństwie. Wychowany od dzieciństwa surowo w Niemczech i Anglii; matki nie znał nigdy. Wróciwszy do kraju, zastał majątek w trzech czwartych zrujnowany; pozycyą podkopaną. Wziął się z energią do odbudowania fortuny. Począł od zaparcia się długów ojcowskich; zreformował administracyę nieprzebierając w środkach. Po kilku latach oczyścił hypotekę, pozakładał fabryki i podniósł gospodarstwo. Zastanawiając się nad sobą, ułożył sobie systemat na przyszłość. Stał się egoistą z potrzeby i dumnym z doświadczenia. Pamiętał gdy z niego z początku drwiono, w miarę zaś wzrastającej liczby banknotów, zauważył niepospolite znaczenie i poważanie do jakiego nagle doszedł. Kłaniano mu się nizko i bano potężnie. Odtąd miał się za istotę wyższą, a ludzi za narzędzia; został materyalistą z przekonania, gardząc wszystkiem w co ludzie wierzyć przywykli; wyrobił sobie własną filozofią redukującą się do powierzchownych pojęć honoru. Ożenił się wcześniej, z rachuby; w domu był nieograniczonym despotą. Ogromnie już bogaty, rzucił się w spekulacye finansowe; w tym celu wyniósł się do Paryża. Nazwiska użył za paszport otwierający mu podwoje świata finansowego. Majątek rósł jak na drogżach; zakupił dobra we Francyi. W zimie otwierał salony, a każdy jego gość przedstawiał z pewnością jakiś kapitał rzeczywisty, znaczenia lub stosunków.

Księżę miał przytém namiętności zimne, a potężne i skoncentrowane. Żadna kobieta w życiu jego, miejsca ani na chwilę nie zajęła, ale téż mało która oprzec się potrafiła, tak umiał zapanować nad każdą. Każdy stosunek zrywał pierwszy w sposób wzbudzający najgłębszą nienawiść, wzbudzał téż strach nieopisany i pociąg nieprzeparty.

Spotkawszy Idę, przeznaczył ją sobie zawczasu za zdobycz. Odgadłszy młodą kobietę, podjął się jéj edukacyi. Sztukę szatańską demoralizowania kobiety, posunął do wysokości doskonałości, uprawiając ją z zamiłowaniem i wielkim talentem. Obchodził się z nią lekko i z ironią, drażniąc ją niezmiernie w próżności, której posiadała niemało. Idę upokarzała przygniatająca wyższość mężczyzny, magnetyzował szydlerczy jego uśmiech. Uczuwała do niego wstętność i atrakcyę.

Krótko mówiąc, hrabina Ida, dotychczas tryumfująca z wszystkimi, zwłaszcza z kochającymi prawdziwie, a więc dobrowolnie zrzekającymi się krwi zimnej i rozwagi, znalazła nagle i spokojniacą w obec silniejszej od niéj organizacyi, w obec zimnego wyrachowania widzącego w niéj piękne tylko cacko, mogące przytem posłużyć za narzędzie do pewnych celów. Księżę albowiem chciał otworzyć w Paryżu salon, w którymby królująca Ida ściągala wszystkie znakomitości francuzkiej stolicy. Jest dosyć prawdy psy-

chicznie w tém zetknięciu się dwóch organizacyi, jednej słabszej, drugiej silniejszej, zwłaszcza w tych razach, gdy jak tutaj, niema żadnego moralnego gruntu. Pustkę serca Idy, mógł jedynie podleczać taki książę, obiecujący jej berło władzy niewieściej w najpierwszym salonie stolicy Europy. Ulega mu też bezwładnie, jakby zaczarowana wzrokiem bazyliżka; traci cześć swą niewieścią bez miłości, bez możności usprawiedliwienia jej jakąbądź okolicznością, i wyjeżdża wraz z księciem do Paryża, zrywając okrutnie, nielitościwie związki z zacnie kochającym ją Zdzisławem. Ale Zdzisław zjawia się nagle, w chwili przed wyjazdem, a gdy się sprawa wyjaśnia, wyzywa księcia na pojedynek. Ciężko raniony, złamany i zgnębiony moralnie, nie może zapomnieć kobiety, którą ukochał na wieki.

Lecz i hrabinę, bliska dosięga kara. Za poniewieranie uczuciem, za przyprowadzenie o rozpacz tych, którzy dla niej poświęcić się byli gotowi, odpłaca jej książę tyrańskiem swém i zinnem obejściem. W ciężkiej chorobie traci zdrowie i piękność, a świat wielki Paryża, który nigdy nie wierzył w prawdziwość jej tytułu, wywnioskował skandaliczny przebieg z jej choroby, i opasał ją niby sznurem, haniebną potwarzą. Sznur ten musiał ją prędkiej później zdusić. Rzeczywiście tak się stało. Ugodzona najdotkliwiej w miłości własnej, w dumie (gdyż ją książę porzucił) w jedynem drgnięciu serca jakie uczuła dla Zdzisława, słowem we wszelkich zasadach które budzą się w sercu kobiety w chwili uroczystej, zapada coraz bardziej na zdrowiu, i wtedy nie waha się zawezwać Zdzisława, jedynego w którego wierzy, iż jej i teraz przebaczy, iż jej do ostatka będzie aniołem stróżem.

Zdzisław przyleciał na skrzydłach niewygastłej miłości, kilka tygodni otaczał troskliwością macierzyńską, nawróconą Magdalenę, aż ta, w objęciach jego spokojnie skonała. Zdzisław przywdział sukienkę Missyonarza. Książę F. dowiedziawszy się o tém, mruknął pod nosem:

„Kto jej winien.. była stworzoną na ucziwą kobietę... jak wszystkie Polki”. W tém ostatniem orzeczeniu księcia, mieści się poniekąd myśl autora. „Była stworzoną na ucziwą kobietę” ale jej tego nie dozwoliła odrębna organizacya, wychowanie i inne postronne wpływy. Zakoleńczenie expijacyjne powinoby usprawiedliwić wiele drożności pióra autora, którym podlegać nie wolno. Nie chodzi nam tu już o sam przedmiot, tak powtarzający się w ostatnich czasach w naszej literaturze, ile o pewną zuchwałość szczegółów, o pewne wykończenie zamiłowanie drobiazgów, któreby nawet francuzkiego czytelnika zastanowiły. Nie nazywa się moralizowaniem, przestrzeganiem przed jaskrawością pewnych scen lub plastyczném wyrzeźbianiem pewnych szczegółków, które i w najsilniejszym gorzącym namietnością utworze, ominąć wybornie można, ominąć potrzeba. Nasza społecność na zupełnie innych warunkach zbudowana, na zupełnie też innych podtrzymać ją należy. Nikt nie radzi zakrywać oczu, ażeby nie widzieć niebezpie-

czeństwa, ale wcale niepotrzebném jest posługiwać się lupą lub mikroskopem ażeby dojrzeć z całą dokładnością, wszelkie plamy i plamki. W życiu dzieje się wiele, co się dzieć nie powinno; w powieści przeciwnie, ma być przedewszystkiem to, co się dzieć *powinno*, byle przedstawienie oparte było na żywej prawdzie i na możebności natury. Często co jest rzeczywiste i istotne, co jest *względnie* prawdziwe, nie zawsze jeszcze ma warunki owej *prawdy*, którą słusznie estetyka nazywa *pięknem i dobrem*. Piękno absolutne jest to, przed którem każdy zgina kolano, wierzący i niedowierzący. W sztuce, piękno jest może najwyższą moralnością.

Miedzy nowemi książkami ukazał się pierwszy tomik „Biblioteki utworów dramatycznych oryginalnych i tłómaczonych”, wydanie M. Glücksberga. Zawiera on „Drahomirę,” tragedję w 5 aktach Józefa Weilena, przełożoną z niemieckiego przez W. L. Anczyca.

Pochwalamy ze wszech miar i samo wydawnictwo tego rodzaju, i wybór początkowy. Rzecz sama zakreślona szeroko, obejmująca szczytnością dwa walczące ze sobą światy: stary rozsypujący się w gruzy, i nowy rozkwitły bluszczem religii, miłości i nadziei. Przedmiot nie nowy, bo niejednokrotnie już przedstawiali poeci walący się pogański Rzym, ustępujący miejsca potężnej idei Chrystyanizmu, lub bałwochwalczą cześć pierwszych kształtujących się ludów, znikającą przed nowem światłem; ale dramatyczność w téj tragedji idąca w parze z pięknym i jedynym językiem, wyróżnia go z pośród wielu innych, jemu pokrewnych.

Starożytna Praga jest miejscem rozgrywającego się dramatu. Osoby rzucone na tło jego, to przedstawiciele, jakieśmy rzekli, dwóch idei: starój, pogańsko-słowiańskiej, lękającej się wraz z religią utracić potęgę narodową, i nowój: przynoszącej miłość, rozproszenie ponurój nienawiści, odosobniającój od innych ludów, walącej barbarzyńskie przesady, krwawe ludzkie ofiary, ufność ślepą w siłę brutalną pięści i miecza. Pierwszy kierunek reprezentuje Ludmiła matka zmarłego właśnie co panującego księcia, wraz z współkrzewicielem misyonarskim ojcem Pawłem; drugi Drahomira jój synowa, zaślepiona w cześć swych ojczystych bogów, nie dająca się nagiąć nowój wierze, mimo że się usunął od niej ukochany małżonek i że jedyne dziecko oddalono od zgubnego jój wpływu.

W chwili śmierci księcia, wodzowie Kuzyc, ojczystego jój kraju, wzywają Drahomirę, ażeby podźwignęła upadającą cześć bogów w Słowiańszczyźnie, ażeby objęła ster państwa należący jój z prawa, a odpędziła precz mnichów i srogą dla niej Ludmiłę. Tuman najgorętszy poganin, roznieca wojnę domową, którą dostojna i bogobojna Ludmiła zażegnuje przebaczeniem, i ofiarowaniem Drahomirze tronu, byle się wyrzekła dawniej wiary. Nadarmo: Drahomira chce panować *pogańską* słowiańszczyźnię, odrzuca ofiarę,

domaga się tylko namiętnie, ażeby jój powrócono syna Wacława. Lecz Ludmila obawia się złego jój wpływu, obawia się, ażeby zaszczipione w sercu młodzieńca ziarno chrystyanizmu, nie przydu-siła potęgą kochającej a trwającej w zgubném bałwochwalstwie matki. Skłoniła jednak prośbą wnuka, zezwała, gdy wtém Tuman kochający oddawna Drahomirę, skrytobójczo zabija Lud-miłę, a syna Wacława wydać matce nie chce tak długo, aż ta zosta-nie jego towarzyszką. Nieszczęśliwa matka nadarmo wzywa po-mocy ludu; lud miłujący Ludmiłę, jako swą najlepszą matkę i opie-kunkę, wre wściekłym gniewem, rzuca się na hafce Tumana, roz-braja go i prowadzi Wacława w tryumfie.

W scenie ostatniej, Wacław przechodzi straszną walkę, między miłością dla długo oczekiwanéj a teraz zbrodniczéj matki, a cześcią i uwielbieniem dla świętej i niewinnie zgładzonej Ludmiły. Z rozpaczą mówi do niéj:

„Syn nie może sądzić być swój matki.
W niepamięci straszny czyn Twój grzebiej.
Ale idź ztąd, opuść ziemię tę,
Bo ratunku nie masz tu dla Ciebie,
Gdzie lud zemsty za śmierć księżnéj chce”.

Biedna matka, u której miłość dla dziecka przygłusza wszy-stkie uczucia, błaga:

„Wspomnij na me trudy i boleści!
Nie dość, że mnie dziecko nie popieści,
Lecz od matki swą odwraca twarz!...
Jam w cierpieniach srogich Cię powiła,
Jam do łona Ciebie nie tuliła,
I nie czułam co to pieszczot raj,
A dziś stracić na wieki Cię muszę.
Więc nim na te skażesz mnie katusze,
Choć raz nazwę słodką matki daj.

Wacław rzuca się w jój ramiona. Drahomira już dla niego wiarę swą poświęcić gotowa, gdy wtém uderzenie piorunu zapala pogrzebowy stos księcia nieboszczyka. Poganka bierze to za Peruna grzmot i woła w uniesieniu:

„Ha rozumiem, to jest bogów głos:
Tym piorunem znak mi z nieba dano,
Abym strzegła wiarę mą zachwianą,
Mnie wołają nasze bogi stare.

Rzuca się na stos, wszyscy stoją w niemém przerażeniu, Wacław kończy uroczyscie:

... Stwórca jój odpuści
Bo najczystsza miłością jest Bóg!”

Górującym żywiołem dramatycznym jest tu: miłość macierzyńska Drahomiry. Dla niej cierpi, roznieca wojnę domową, popełnia bezwiednie zabójstwo Ludmiły. Uczucie wielkie, szczerne, zbliżające ją do skruchy i pojednania, bratające ducha jej z ideą odkupienia, i jeżeli pozornie wytrwała w błędzie, oddając się bogom, to już znać, że czyni to raczej z rozpacz, z wewnętrzznego rozdrowienia, ze zwątpienia w doskonałość wiary wyssanej z mlekiem.

Efekt dramatyczny łączy się tu z efektem teatralnym, który powinien być niepośledni w wielu scenach.

Tém bardziej życzyby wypadało przyswojenia téj tragedyi dla warszawskiej sceny, iż przekład p. Wł. Auczycza zaleca się pięknnością niepospolitą. Takich przekładów, potrzeba ubogiéj naszej literaturze dramatycznej jak najwięcej, bo wtedy przekład dorównywa wartości pracy oryginalnej. Pozwolimy sobie przytoczyć tu jeszcze jeden ustęp. Wypowiada go Drahomira w chwili, gdy przybyli wodzowie z Łużyc, przypominają jej rodzinne strony:

„Obym mogła uciec z téj krainy,
 O Łużyce! kraju mój jedyny!
 Wciąż o tobie tęskne serce śni.
 Odra z Łabą, rodne dwie siostrzyce
 Srebrnym nurtem pieszczą me Łużyce,
 W nie ja biedna puszczałam moje łzy.
 W gajach świętych płonie stos ofiarny,
 Niw tych drogich mnich nie skała czarny,
 Co wyrzywa mężów z łona żon.
 I wydziera z rąk macierzy syna:
 Niech zmarnieje matka i dziecina,
 Byle on wzniośł Bogu swemu tron.
 O tam jeszcze, w cieniach swój dąbrowy,
 Lśni bóg wojny, Harwit pięcio-głowy,
 Lśni tarcz święta, co nam darzy bój:
 Tam śród gromad pełnych silnej wiary,
 Mój najmilszy, tęskni ojciec stary,
 Srebrno-włosy gołąbeczek mój.
 O jakbym dziś łzami złana, zbladła
 Mój ojczesiku do Twych nówek padła,
 Szepcząc tkliwie: Przyjm dziecinę Twą!
 Tak jak niegdyś, radość Twa jedyna,
 Syn twój wracał w mury Budyszyna,
 Z ciężkiej walki, wracał złany krwią.
 I zmieniony przez śmiertelne rany,
 Przy Twych nogach upadł syn kochany,
 I zaledwie tyle zebrał tehu,
 By rzec: „Bóg ten ciężki a wróg skała,
 Syn Twój walczył, lecz gdy sił niestało,
 Wierny bogom, przyszedł skonać tu!”

Z drukarni Kowalewskiego wyszła komedia trzechaktowa E. Augiera p. t. „Filiberta” przekładu Kazimierza Kaszewskiego wierszem. Jest to jedna z pierwszych tego autora, napisana w epoce gdy niepewny jeszcze stanowczo, kierunku swego satyryczno obyczajowego talentu, usiłował iść z gustem publiczności, z modą. Nie wybitna tendencją, niechłoszcząca wad społecznych, nie daje poznać późniejszego autora: „Bezczelnych” lub „Syna Giboyera”; jest jednak mimoto wdzięcznym treścią i formą obrazkiem, wszczepionym w ramy jednej ze świetnych epok królewskich francuzkiego dworu. Książęta i markizy migoczą się przed oczami, zachwycając galanteryjną rycerskością słowa, dowcipem dworskim i ponętynym dyalogiem, który istotnie wzorem był naówczas dla innych europejskich towarzystw.

To odtworzenie wierne przeszłości, ten koloryt historyczno-obyczajowy, nie posilający się bynajmniej historycznemi nazwiskami, udał się wyborze Augierowi, a nadto jest jeden oryginalny i wdzięczny moment, który komedią tę z pośród innych wyszczególnia. Młoda albowiem margrabianka Filiberta, wychowana surowo i ostro przez matkę, kochającą wyłącznie starszą jej siostrę Blankę, sądzi się brzydką i niepowabną. Nigdy jej nikt nie powiedział komplementu, wszystkie zwracano do piękności Blanki; matka wręcz miała ją za niezdatną, nieładną i gąskę. Filiberta też uwierzyła w swoją brzydotę, i uczuwa głęboki smutek, bo jest przekonana, że nie zazna nigdy wzajemności uczucia, do jakiego tęskni każde szlachetne dziewczę. Zdaje się jej najmocniej, że każdy któryby ją chciał poślubić, pragnąłby tylko jej milionów a nie serca. Mniemanie takie, każe jej być niesprawiedliwą względem zacnego, szczerze kochającego ją a ubogiego młodzieńca, względem p. Lucyana de Taulignan. Dopiero gdy kawaler Gaston de Talmay, elegancki rozpustnik i dworak, chcący ją uwieść, szczerze unosi się nad jej pięknością, dopiero wtedy rozradowana, zachwycona, wierzy w siebie, wierzy w miłość Lucyana, w przyszłość i w szczęście. Przeistacza się nie do poznania; sama margrabina przyznaje jej dowcip którego się nie spodziewała, dziwiąc się liczbie trzech aż konkurentów: kawalera Gastona, stryja jego starego księcia i Lucyana. Lecz ten wynagrodzony za chwilową dojmującą boleść, bo piękna bohaterka te mówi do niego z ogniem słowa:

„W wieku, w którym nadzieja życie opromienia,
Obcą była mi radość, całą mą pociechą
Było kilka serc czułych, sympatyczne echo.
Ty jednak byłeś ciągłym myśli mych przedmiotem,
Nie pytałam czy kochasz i wątpiałam o tém,
Pewna że powierzchowność moja w żadnym z ludzi
Prawdziwego uczucia ku mnie nie obudzi.

Boleść jaką sprawiłam serce me ocenia:
Czy mam za nią na klęczkach błagać przebaczenia?

Prócz bohaterki nakreślonej pełno i skończenie, pysznemi są figurami książę Grandchamps i synowiec jego kawaler Gaston de Talmay. Rozmowa obydwóch w scenie 7 i 8 aktu Igo, porywa i zachwycą wykwintnym dowcipem, delikatnym humorem i nieporównaną werwą.

Komedia ta, wybornie przełożona, gdybyśmy jęj nawet nie ujrżeli na scenie, czego nie przypuszczamy, czyta się bardzo przyjemnie, wywołując wesoły uśmiech na usta.

Edward Lubowski.

Stary dwór, powieść przez Tadeusza Jerzego Steckiego. Warszawa. Nakładem Redakcyi Przeglądu tygodniowego. 1869. str. 284.

Powieść historyczna stała się u nas oniemal tradycją. Odkąd Rzewuski umarł, a p. Kaczkowski przestał pisać powieści, przynajmniej odtąd pozbawieni zostaliśmy wspomnień przeszłości w artystycznej podawanych formie. Wprawdzie p. Kraszewski dał nam *Ongi i Orbeke*, ś. p. Skarbek *Olim*; pan Dzieduszycki: *Powieść z dawnych czasów*; ale są to utwory bardzo mało charakterystyczne, po większej części malujące takie wypadki, które i dzisiaj równie dobrze stać się mogły, lub też są to ramoty nie zasługujące nawet na nazwę historycznej powieści (jak np. praca p. Dzieduszyckiego). Bądź co bądź, dawny sposób artystycznego obrabiania dziejów już się przeżył, a nowego nie widać; gdyż i ta powieść, o której mówić chcemy, należy do tych, które oprócz nazwiska i wypadków historycznych, koniecznych a stereotypowych mieczników i podczaszych, nie wiele w sobie cech prawdziwej historycznej powieści zawiera.

P. Stecki, znany autor jeograficzno-historycznej pracy p. n. *Wołyń i t. d. przedstawia w Starym Dworze* historią nieszczęść książęcej niegdyś rodziny *Podbereskich*, w której fatalizm, jak powiada, nieustannie sprowadzał burze. Rzecz dzieje się na pograniczu Wołynia i Ukrainy we wsi *Mostyszczach*, gdzie starożytny zamek strachem okolicznych mieszkańców przejmował. Działy się tu bowiem niegodziwe a straszliwe wypadki. Już bowiem dziadowi bohatera powieści *Jerzego*, przypisywali stosunki ze złym duchem, albo lepij, mówiąc językiem zrozumialszym dla dzisiejszych uszu, uważano go za niegodziwego człowieka, który mając sobie powierzony honor i majątek Malińskich, splamił pierwszy a ograbił drugi. Zniesławił bowiem wdowę pod opiekę sobie oddaną i zagarnął ogromne skarby, znajdujące się w pewnym zamku, niegdyś do Malińskich należącym.

Ojciec Jerzego pokochał cygankę Martę, a zmuszony do rozstania się z nią i ożenienia, w krótkim bardzo czasie u nieszczęśliwy